

# NAUKI TOMASZA MERTY.

## WSPOMNIENIE

Monika Wasilewska

Uniwersytet Warszawski

*Mackiewiczowi [Catowi] tak do końca hym nie wierzył. To jednak nie Grydzewski, o którym mówiono, że przed publikacją sprawdzał, czy to rzeczywiście Słowacki napisał Kordiana – tak odpisał dziewięć lat temu Tomasz Merta, gdy poprosiłam go o wskazówki bibliograficzne. Na kilka pytań odpowiedział czterostronicowym wykazem lektur, przestrzegając jednocześnie przed korzystaniem z wyborów pism (*kełopot w tym, że każdy widzi w dawnych autorach to, co akurat chce zobaczyć*). Właśnie ukazał się, staraniem Teologii Politycznej i Muzeum Historii Polski, rzetelny wybór tekstów Tomasza Merty *Nieodżowność konserwatyzmu*. Równocześnie, pod tym samym tytułem, wydano tomik ze wspomnieniami jego bliskich, przyjaciół i współpracowników.*

Jego dydaktyczne nastawienie nie zmieniło się, gdy objął stanowisko wiceministra kultury. Przynosił do urzędu plastikowe torby pełne książek. Takich, które chciał, byśmy znali. Wręczał te siatki z jednym zdaniem. „Podzielcie się” – mówił (mając na myśli mnie i Piotra Kieżuna, także swojego dawnego studenta, który podjął pracę w ministerstwie). W ten sposób dostałam *Proste prawdy* Henryka Krzeczковского. Dopiero po ich kolejnej lekturze zrozumiałam, co Tomka fascynowało w tym tłumaczu i eseiście. Odpowiedź znajdziemy w recenzji *Zaproszenie do rozmowy*. [Krzeczkowski] stawiał (...) utworom literackim – co dzisiaj niezbyt częste i raczej niepopularne – wysokie wymagania etyczne i merytoryczne, uważając, że błędzą ci, którzy lekceważą edukacyjne funkcje literatury i skłonni są zajmować się raczej tym, *j a k, niż c o* zostało napisane (...) *A to właśnie idee, zdaniem autora Prostych prawd, są najważniejszym motorem ludzkiego działania, w żadnym razie nie czynniki ekonomiczne, na które w XX wieku kładziono największy nacisk*. Jedna idea zaprzętała Krzeczковского najbardziej: *tą czy inną drogą myśl Krzeczковского zawsze zmierza*

w stronę refleksji na temat Polski. Polskość jest w jego myśleniu kategorią podstawową, niejako filtrem, przez który patrzy na świat. Zadaniem intelektualisty jest tę wyjątkowość rozpoznać i pielegnować, co zresztą w żadnym razie nie musi oznaczać bezrefleksyjnej akceptacji. Tomasz Merta podobnie – w swoich tekstach interpretował rzeczywistość przez pryzmat idei, które mają konsekwencje w życiu jednostkowym i zbiorowym, wartości, które kształtują nasze wybory, opisywał polski kod kulturowy i Polaków jako wspólnotę polityczną. Nie były to jednak rozważania czysto teoretyczne (Tomka nie pasjonowały zagadnienia z gatunku monadologii Leibniza). Kładł silny nacisk, co jest rysem charakterystycznym całej jego twórczości, na konkluzywność rozważań i praktyczny aspekt wniosków.

Był wzorcowym inteligentem z misją, bardzo oddanym swej pracy. Wierzył w sens przekazywania wiedzy (nabycie samej umiejętności rozumienia tekstów, bez forsownego treningu lektury, uważał za mało prawdopodobne). Nie szczędził słów zachęty do solidnego czytania (zapytany kiedyś, ile sam czyta, przyznał, że aplikuje sobie nie mniej niż książkę dziennie) i do uczciwej dyskusji. Choć prowadził regularne wykłady i seminaria, chętnie przyjmował zaproszenia na debaty poza uczelnią. Z dwoma nieopierzonymi studentami co tydzień o ósmej rano w kawiarni Nowy Świat czytał Platona, prowadził domowe seminarium poświęcone Rzeczypospolitej szlacheckiej, bywał w Towarzystwie Oświatowo-Naukowym, duszpasterstwie dominikańskim, siedzibie Arkonii, na spotkaniach sympatyków „Krytyki Politycznej”. (*Nota bene* Tomek kiedyś zżymał się na wieść o wydaniu przez „Krytykę” pism Lenina. Zapytany, czy wobec tego nie przeszkadza mu, że Sławek Sierakowski powołuje się właśnie na seminarium Merty i Gawina jako inspirację dla swojego czasopisma, odparł, że ceni taką postawę, zwłaszcza że większość osób szybko zapomina, skąd się wywodzi). Tomek pisał podręczniki o wychowaniu obywatelskim, materiały dydaktyczne, brał udział w szkoleniu nauczycieli, współpracował z Centrum Edukacji Obywatelskiej, był inicjatorem akcji „Ślady przeszłości” dla uczniów. W eseju *Obrona inteligencji* sformułował uzasadnienie tej aktywności. *Inteligent, podobnie jak intelektualista, poruszał się w świecie idei, lecz czynił z nich bardziej praktyczny użytek. Nie wkładał maski bezstronnego arbitra, lecz raczej społecznika – aktywisty, cenił nie tyle żonglerkę pojęciami, ile prawdziwy czyn. Inteligent realizował swe posłannictwo nie tylko w myśleniu, lecz nade wszystko w rzeczywistym działaniu, jego zaangażowanie miało wydać realny, a nie tylko słowny owoc. Intelektualista i inteligent, obaj pragneli być interpretatorami rzeczywistości, inteligent jednak wypowiadał się nie tylko w czasopismach i aulach wykładowych, ale i w małych wiejskich szkołkach czy na odczytach w jakiejś wynajętej salce. Inteligent*

*pojmował swoje obowiązki jako znacznie wykraczające poza te, które wiązały się z jego zawodem – za oczywiste przyjmował niezbędność działań społecznych i cywilizacyjnych. Ważnym słowem w jego słowniku było „poświęcenie”...*

Właśnie z poczucia więzi z etosem inteligentckim zrodził się pomysł seminarium „Polskie zmagania z historią”. Tomasz Merta prowadził je przez kilka lat wspólnie z Dariuszem Gawinem. W zbiorze wspomnień *Nieodżowność konserwatyzmu* Gawin wyjaśnia, że seminarium było także wyrazem sprzeciwu wobec ogłaszanego przez publicystów i socjologów końca czasu inteligentów: „Powiedzieć, że to nas z Tomkiem bolało, jako ludzi określających siebie jako inteligentów właśnie, to mało. Uważaliśmy, że jest to także niemądre, bo polska tradycja inteligentcka to element ciągłości, którego w kraju tak doświadczanym przez historię nie można lekką ręką odkładać do lamusa. (...) A że polskich inteligentów w przeważającej mierze nie kształtowali filozofowie polityki, lecz raczej pisarze czy eseiści, postanowiliśmy czytać na sposób filozoficzny i polityczny zarazem książki często znane raczej z lekcji polskiego niż z seminariów filozoficznych”.

Seminarium „Polskie zmagania z historią”, na którym czytaliśmy formacyjne dla polskiej inteligencji teksty, odbywało się w ciasnym pokoju w Katedrze Erazma z Rotterdamu na UW. Spóźnialscy siadali przy kaloryferze albo w korytarzyku (gdy ci ostatni zabierali głos, dochodził literalnie zza ściany). Tomasz Merta i Dariusz Gawin, pielęgnując kameralną atmosferę tych spotkań, obstawali, by nie przenosić zajęć do większej sali, bo „zawsze się potem okazuje za duża”. Przez kilka lat trwania seminarium „przewinęło się przez nie kilkadziesiąt osób. Niektóre z nich same podjęły później dzieło polskich inteligentckich zmagania z historią – byli wśród nich m.in. Michał Łuczewski, Paulina Bednarz-Łuczewska, Piotr Kieżun, Sławomir Sierakowski, Agata Szczeńniak, Wojciech Przybylski. Te nazwiska dzisiaj tworzą szerokie spektrum młodej inteligencji – od prawej do lewej strony, od »44« przez »Kulturę Liberalną«, »Res Publicę« do »Krytyki Politycznej«” (Dariusz Gawin, *Konserwatysta i polski inteligent*). Merta i Gawin prowadzili zajęcia na zmianę, zwykle na jedno zajęcia przypadała jedna książka. Prowadzący starali się dobierać teksty tak, by objaśniały nie tylko Polskę tamtą, minioną, ale i naszą, współczesną. To był żywy kanon, odzwierciedlający do dziś nierozstrzygnięte spory. Śledziliśmy to tworzenie się specyficznie polskiego widzenia świata na przestrzeni stu kilkudziesięciu lat. Zmagania pisarzy, myślicieli, dziennikarzy, polityków, polskich intelektualistów „ukąszonych” Polską, radykalnie różnych w swoich diagnozach, ale zgodnych w stawianiu pytań. Mierzących się z pytaniami o charakter narodowy, spadek romantyzmu, nacjonalizm i patriotyzm, interpretację

doświadczeń historycznych i wagę historii, zadania elity, walczących o przyszły kształt Polski, modernizację społeczeństwa i postęp cywilizacyjny. Powracał lęk przed „mocnymi” poglądami (zwłaszcza prawicowymi) i antysemityzmem, szukanie właściwego miejsca w społeczeństwie dla Kościoła i katolicyzmu. Wielu autorów, od lewa do prawa, grzeszyło paternalizmem, a niektórzy byli gotowi sięgać po radykalne środki w imię przekształcenia polskiego społeczeństwa według własnego wzorca ideowego (aż po ekstremum w liście Krońskiego do Miłosza – ta słynna fraza o sowieckich kolbach, którymi „nauczmy ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie bez alienacji!”). Poznawaliśmy lepiej „proroków” prawicy i lewicy, tworzenie ich frazeologii, odniesień historycznych i obrazu ideowych przeciwników, czytaliśmy o „Polsce zdzieciniałej”, Ślubach Jasnogórskich Narodu, polskiej anarchii i panach Leszczyńskich, rządzących Polską trumnach Piłsudskiego i Dmowskiego, śledziliśmy narodziny mitu założycielskiego lewicy, towarzyszyliśmy panu Mareczkowi i jego upiorowi wnoszącemu składki na „Solidarność”. Uczyliśmy się wreszcie analizować lektury (kto ciekawy, powinien zajrzeć do wyboru recenzji Tomasza Merty zamieszczonych w zbiorze *Nieodżowność konserwatyzmu*. To nie są streszczenia, na jakie zazwyczaj trafiamy w tygodnikach opinii, ale opowieści pełne inspirujących spostrzeżeń. Warto sprawdzić, co Tomek potrafił wysnuć z czytadła feministycznej działaczki albo zapomnianej powieści międzywojennej).

Tomasz Merta umiał wysłyszeć jawne i utajone motywy polskiego dyskursu. Gdyby nie był tego tragicznego dnia na pokładzie samolotu do Smoleńska, zapewne opisałby wnikliwie konflikt wokół upamiętnienia ofiar katastrofy i pochówku pary prezydenckiej na Wawelu. Ukazałby szerokie podłoże sporu, głębsze motywy kierujące oboma obozami, może scharakteryzowałby ponownie ścierające się projekty wychowawcze narodu – „pozytywny” i „krytyczny”. (Tomek potrafił uspokoić, ucywilizować dyskusję, pisać z gorącym sercem, ale chłodną stalówką.) Pomocą w zrozumieniu sporu o znaczenie 10 kwietnia 2010 roku służą także dziś eseje: *Warunek obrachunku z przeszłością i Pamięć i nadzieja*. Były one po trosze głosem Tomka w debacie o ocenę wydarzeń z Jedwabnego, ale przede wszystkim wezwaniem do adekwatnego opisu naszych doświadczeń dziejowych, do przywrócenia pierwszeństwa historii dumy narodowej przed narracją krytyczną, oddaniem sprawiedliwości bohaterom przed roztrząsaniem przypadków koniunkturalizmu i zdrady. *Historia „krytyczna”, choć rości sobie prawo do obiektywizmu i prawdziwości, żadną miarą nie może być jednak za taką uznana, jako że w samej swej strukturze jest jedynie dopełnieniem czy,*

*powiedzmy, antytezą, której zamierzeniem jest korekta tezy pozytywnej. Jej narracja jest narracją typu „tak, ale...”. Tak, Polacy dzielnie walczyli z nazistami, ale... Tak, wskazać można wiele przypadków zachowań heroicznych, ale... W istocie więc historia „krytyczna” jest uprawnionym składnikiem historycznego badania o tyle, o ile wraz z historią „bohaterską” prowadzi do wypracowania syntezy, do budowy równoważonego obrazu przeszłości, w którym we właściwy sposób wyważone zostaną proporcje między tym, co szlachetne, i tym, co haniebne. (Warunek obrachunku z przeszłością).*

Jednym z najbardziej inspirujących wątków w twórczości Tomka jest jego głos w dyskusji o problemie (braku) ciągłości naszej tradycji kulturowej. Był przekonany o istnieniu *modus operandi* polskiej wspólnoty politycznej, powtarzających się w ciągu wieków wzorców myślenia i scenariuszy działania. Wierzył, że mimo czasu rozbiorów, wojen, totalitaryzmów i PRL-u nie naszej tradycji nie została zerwana. Rekonstruował ją, poszukując tego, co dla Polaków specyficzne. Gdy pisał o destrukcyjnym wpływie czasu PRL-u na więzi społeczne, podkreślał, że kluczowe instytucje udało się jednak Polakom ocalić: rodzinę, nierzadko kultywującą historyczne i etyczne tradycje, etos polskiej inteligencji i zachowującą nieprzerwaną ciągłość tradycję religijną. W tekście o konfederacji barskiej wskazał wartości konstytutywne, jego zdaniem, dla polskiej tradycji politycznej: obronę wolności politycznej przed władzą absolutną i wrogiem zewnętrznym, definiowanie wolności w sposób powinnościowy (republika, by przetrwać, potrzebuje przecież określonego ideału obywatela, skłonnego wypełniać swoje obowiązki wobec wspólnoty), silny związek z wiarą chrześcijańską. *Patriotyzm i religia nieustannie się przenikają, zdarzenia wojenne i polityczne interpretowane są poprzez terminy religijne, a powodzenie konfederatów, choć zależy nade wszystko od przejawienia republikańskiego ducha, to jednak wpisuje się zarazem w szerszy plan Boży.* Przypadek konfederacji barskiej interesował go zwłaszcza jako studium sposobu reagowania Polaków w sytuacji zagrożenia wewnętrznego i zewnętrznego. „Przymierze obywateli” nie tyle występowało przeciw prawom, jak się potocznie przyjęło sądzić, ile w obliczu niewydolności instytucji państwowych dążyło do zażegnania kryzysu i przywrócenia normalnych form ustrojowych. W tym właśnie manifestowały się w pełni prawa polityczne obywateli (stan nadzwyczajny może przecież wprowadzić tylko rzeczywisty suweren, a więc w tym wypadku naród szlachecki). Prawomocność konfederacji, uważał Tomek, polegała także na tym, że aktywna część obywateli nie dążyła już do reprezentacji interesów własnej grupy. Występując w obronie wartości, na których ufundowana została republika, stawała się reprezentacją interesu publicznego. *Wspólnotę polityczną tworzą wszyscy, ale o jej losach – szczególnie w dramatycznych okolicznościach*

– stanowiąc mają prawo jedynie ci, którzy rzeczywiście stosują się do republikańskiej zasady na rzecz dobra wspólnego. Ich wola – poświadczona działaniem – przekracza partykularyzm, stając się wolą całej wspólnoty. Nieprzypadkowo autor podpowiada dalej: *prawomocność Solidarności opiera się na tych samych przesłankach, co prawomocność władzy konfederacji barskiej*. Odniesienia do narodzin Solidarności oraz czasów konfederacji barskiej powracają w innych esejach Tomasa Merty. Były dowodami, że nagle i niespodziewane odrodzenie się poczucia odpowiedzialności obywateli za losy ojczyzny, wspólne działanie na rzecz jej odrodzenia, myślenie w kategoriach dobra ogółu jest możliwe. Był to przykład dający nadzieję obywatelom rozczarowanym zimnym projektem demokracji dla indywidualistów i konsumentów. *Być może jednak najgłębszy sens doświadczenia konfederatów kryje się dla nas jeszcze w czymś innym – poświadczają ono, że póki trwa wspólnota polityczna, odnowienie tradycji republikańskiej jest zawsze możliwe, nawet jeśli jej puls jest prawie nienyczuwalny*.

Doświadczenie polityczne I Rzeczypospolitej Tomek uważał za szczególnie cenną część polskiej tradycji (ubolewał nad faktem, że filozofię polityki uprawia się w Polsce, głównie czytając Anglosasów i rozważania o demokracji ateńskiej, bez zainteresowania dla wielowiekowego ustroju Rzeczypospolitej szlacheckiej). Fascynowała go samorodność demokratycznych instytucji, deliberacyjny charakter ustroju (nieustające sejmikowanie uważał przede wszystkim za dowód żywotności systemu demokratycznego), stopień internalizacji prawa wśród obywateli i jego nadrzędność nad władzą królewską. Tomasz Merta odrzucał królocentryczną perspektywę opisu zmagania o władzę głowy państwa ze szlachtą. Wskazywał na specyficzny charakter monarchii mieszanej, opartej na woli trzech stanów sejmujących. Odrzucał także, jako wyraz hipokryzji, powracającą w ocenach I Rzeczypospolitej tezę Michała Bobrzyńskiego o nieodzowności władzy absolutnej jako antidotum na siłę zaborców. W myśl tego, występującego często w zwulgaryzowanych formach, argumentu Rzeczypospolita ponosi główną odpowiedzialność za rozbiory, bo była zbyt słabym organizmem państwowym, by przeciwstawić się przemocy rządzonej silną ręką państw ościennych. Tomek podkreślał, że kres państwa przyszedł w momencie reform i Rzeczypospolita szlachecka udowodniła swoją zdolność do samonaprawy („Sami lubimy żyć w wolności – zauważył z przekąsem podczas jednej z dyskusji – ale naszym przodkom zalecamy Putina”). Nie zgadzał się także z popularną oceną liberum veto, przypominając, że „zgoda wszystkich” późno przybrała swą destrukcyjną formę. Widział w niej przede wszystkim sensowne rozwiązanie pozwalające „ucierać” wspólne stanowisko w dyskusji, rozwiązanie, które (inaczej niż głosowanie

większościowe) uwzględnia siłę przekonań i instensywność preferencji jej uczestników. Sama procedura głosowania, jako sposób podejmowania decyzji, *de facto* podporządkowuje mniejszość silniejszej większości. Tomka interesował proces dążenia do jednomyslności. Studiując pisma amerykańskiego myśliciela konserwatywnego, Wilmoora Kendalla, zainteresował się pojęciem „rządzenia przez konsensus”, poszukiwania jak najszerszej płaszczyzny kompromisu w rozstrzyganiu spraw i przyjmowaniu rozwiązań. Równocześnie mierzył się z potrzebą istnienia publicznej ortodoksji, niejako jądra tradycji politycznej, które nie jest w dyskusjach kwestionowane (więcej na ten temat można przeczytać we wstępie Tomasa Mertę do pism Wilmoora Kendalla *Od agory do Kapitolu*. Wydanie tej książki było autorskim pomysłem Tomka, powziętym tuż przed katastrofą smoleńską).

Tomasza Mertę żywo interesował stan debaty publicznej (republiki nie da się przecież utrzymać bez prawdziwej wymiany myśli). Bardzo przestrzegał przed przyjmowaniem apodyktycznego tonu, wykluczającego inaczej myślących z dyskusji. W jego artykułach przebija troska o jakość debaty, jej rzeczywisty pluralizm (choćby w tekście *Państwo minimum dyskusyjnego?*) i zdefiniowanie tego, co najważniejsze i wspólne. Tomek, zgodnie ze swoją metodą, szukał idei stojących za wyborami politycznymi i etycznymi, nie wikłając się w bieżące przepychanki partyjne. Nie ukrywał swoich założeń, ale jego sądów nie motywowały osobiste sympatie. Dzięki temu te teksty zachowały intelektualną świeżość. Wiele z nich, pochodzących przecież sprzed kilku i kilkunastu lat, stanowi wartościowy głos w dzisiejszych sporach. *Świeckie egzorcyzmy*, wskazujące na szkodliwość społeczną satanizmu, a w większym jeszcze stopniu na niebezpieczne skutki społecznego zubożenia wobec promocji zła, mogłyby być równie dobrze głosem w sprawie obecności artysty Nergala w mediach publicznych (szczególny nacisk w tym artykule został położony na słabnącą w społeczeństwie zdolność rozróżnienia tego, co powinno być akceptowane, a co potępione. To zjawisko Tomek uważał za symptom choroby kultury). *Zmiana paradygmatu i Mitologia nowej szkoły* są krytyką bezrefleksyjnej i poprzedzonej mialką debatą reformy systemu edukacji. *Pięć wad genetycznych i jeden paradoks Traktatu Konstytucyjnego* wytyka słabości unijnego projektu integracyjnego, wprowadzanego nie drogą rzeczywistego konsensusu wspólnot narodowych, ale za pomocą kuluarowych gier elit i narzucanego ustawodawstwa. Teksty *Dlaczego wybieram Kaczyńskiego* oraz *Państwo czy atropa? Piętnaście lat II i III RP* pozostały adekwatne w swym surowym opisie skutków mało udanej transformacji, której owocem była

fasadowa demokracja procedur, pozbawiona swojej zasadniczej treści, rządów prawa i obdarzonych obywatelskim zaufaniem instytucji. Swoim zwyczajem Tomasz Merta nie poprzestął na wskazywaniu słabości, ale pokazywał rozwiązanie, kładąc nacisk na zmianę jako warunek trwałości ustroju. *Siła demokracji polega między innymi na tym, że jest ona zdolna do samonaprawy, że potrafi wyciągać wnioski z przeszłych doświadczeń i modyfikować swoje instytucje i procedury, tak aby lepiej sprostać wyzwaniom przeszłości. Tego zaś, by najbliższe wybory otworzyły drogę do udoskonalenia i uszlachetnienia naszej demokracji, powinny sobie życzyć zarówno obrońcy III, jak i zwolennicy IV Rzeczypospolitej (Dlaczego wybieram Kaczyńskiego).*

Niektóre artykuły Tomasza Merty znalazły swoje bezpośrednie przełożenie na rzeczywistość, tak jak esej *Patriotyzm jutra*. Tomek dowodził w nim, że wobec słabnięcia naturalnej, domowej nauki patriotycznej („drobin patriotyzmu”, obecnych w opowiadaniach starszych czy szkolnych lekturach, które niegdyś kształtowały identyfikację ze wspólnotą narodową), odpowiedzialność za nowoczesną edukację historyczno-patriotyczną powinno wziąć na siebie także państwo. Za kadencji ministra Ujazdowskiego esej zaowocował programem operacyjnym pod tą samą nazwą. Dzięki istnieniu tego programu dofinansowano wiele inicjatyw obywatelskich w całym kraju, wydarzeń kulturalnych, akcji edukacyjnych, konkursów dla uczniów promujących postawy obywatelskie i znajomość dziejów Polski, projektów naukowych i wydawnictw na temat historii Polski. Temat edukacji patriotycznej i polityki historycznej powrócił w *Niepodległości bez złudzeń*. W tych uwagach o *Generale Barczu* Kadena-Bandrowskiego Tomasz Merta zawarł obronę uprawiania polityki, a polityki historycznej w szczególności. Argumentuje za świadomym tworzeniem mitu założycielskiego, organizowaniem narodowej wyobraźni i tożsamości wokół symboli i historycznych wydarzeń. Relacjonuje zmagania generała Barcza (*port parole* Pilsudskiego) z oporną materią polityczną, partiami, koteriami i opinią publiczną, ostrzegając jednak przed odczytaniem ich wyłącznie jako czystej gry o władzę. *Z polityką właściwie nikomu nie jest do twarzy, ale dopiero w zbliżeniu widać jak bardzo. Nie czyni to polityki czymś mniej nieuchronnym, dowodzi jedynie, że wejście w tę sferę ludzkiej aktywności jest równie często dowodem cynizmu, co i świadectwem heroizmu. W politycznym świecie, gdzie brak jakichkolwiek punktów odniesienia, gdzie wszystko zmienia swe miejsce, przeznaczenie i wartość, politykę porusza się po omacku, próbując urzeczywistnić swe cele. (...) Podstawowym zadaniem polityka jest ową zmienność i nieoznaczoność politycznej rzeczywistości okiełznać, tak aby nie musieli jej doświadczać ci wszyscy, za których wziął odpowiedzialność...*



Tomasz Merta był współtwórcą koncepcji polityki historycznej. Pełnił funkcję dyrektora Instytutu Dziedzictwa Narodowego (istniejącego w latach 2001–2002), odpowiedzialnego za organizację obchodów Roku Prymasa Stefana Wyszyńskiego i Roku Cypriana Kamila Norwida. Był wtedy także inicjatorem wystawy „Bohaterowie naszej wolności” i słynnej akcji bilbordowej „Czy oddalbyś życie za ojczyznę?”, ilustrowanej portretowymi zdjęciami żołnierzy AK. Akcja spotkała się z szerokim odzwźwiękiem w mediach i wywołała dyskusję wokół celowości wskrzeszania polskiej martyrologii, militaryzmu, konieczności wyboru pomiędzy patriotyzmem czasu walki a patriotyzmem minimalnych środków (sprowadzających się do przestrzegania prawa, płacenia podatków i sumienności w pracy zawodowej). Był to czas, kiedy roszczenia niemieckich wypędzonych nie stworzyły jeszcze przyjaznego klimatu dla prowadzenia polskiej, spójnej i efektywnej polityki historycznej.

W listopadzie 2005 roku Tomasz Merta wkroczył do świata polityki. Współautor programu Prawa i Sprawiedliwości w dziedzinie kultury otrzymał szansę, by wcielić założenia w życie. Objął funkcję podsekretarza stanu i generalnego konserwatora zabytków w Ministerstwie Kultury, którego nazwa została wówczas rozszerzona i brzmi do dziś „Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego”. Na tym stanowisku, mimo zmiany kierownictwa resortu po wygranych przez PO wyborach, pozostał do końca. Tak podsumował pracę Tomka jego przełożony i przyjaciel, Kazimierz M. Ujazdowski: „Był człowiekiem idei, szukającym ich urzeczywistnienia w instytucjonalnym konkrety. Chciał, aby trwale instytucje państwowe wspierały kulturę i promocję polskiego dziedzictwa z pożytkiem dla wspólnoty obywateli. (...) Znakomicie wypełniał funkcję generalnego konserwatora zabytków, przyczyniając się do przywrócenia odpowiedzialności państwa za tę sferę. (...) Tomasz Merta wybrał aktywność pożyteczną i bez rozgłosu. Wierzę, że reprezentowany przez Tomka pozytywny patriotyzm ukształtuje postawy młodego pokolenia. On sam byłby z tego powodu bardzo zadowolony”.

Za kadencji ministra Kazimierza M. Ujazdowskiego nakłady na renowację zabytków wzrosły kilkukrotnie. Uporządkowano sytuację prawną związaną z działaniem muzeów, archiwów i ochroną zabytków. Dzięki długiej akcji dyplomatycznej udało się doprowadzić do zmiany nazwy obozu w Auschwitz przez UNESCO (na „niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady”). Była to odpowiedź polskiego rządu na powtarzające się w zachodniej prasie określenia „polskie obozy śmierci”). Warto zajrzeć do artykułu *Nie ma przyszłości bez przeszłości*, w którym

Tomasz Merta zdaje relację z tego, co udało się w ciągu tej skróconej kadencji osiągnąć, by przywrócić zakłóconą za rządów SLD równowagę między wsparciem kultury współczesnej i ochrony naszego dziedzictwa w kraju i za granicą. Zmienił się wtedy także styl sprawowania władzy. Wystarczy przejrzeć listy przyznawanych w tym czasie ministerialnych grantów. Choćby wykazy dofinansowanych książek i czasopism prezentują, niespotykany w innych okolicznościach politycznych, pluralizm poglądów i różnorodność tematyki.

Tomek w ministerstwie pracował „jakby zbiorowisko sił maszyny stalowej”, by posłużyć się frazą Żeromskiego. Rzecz nie tylko w liczbie godzin („Przesiadanie w pracy to coś innego niż praca” – jak kiedyś zauważył). Spotkania w jego gabincie odbywały się co pół godziny, od dziewiątej do późnego popołudnia, często bez przerwy na posiłek (trudno zapamiętać smak podeschniętych ciasteczek z marmoladą, które serwowano wtedy do herbaty); w wolnych chwilach odpowiadał na telefony i podpisywał pilne pisma. Gdy o 16.15 urząd kończył pracę, przychodził czas na dekretowanie dokumentów, spotkania kierownictwa ministerstwa i gości, którym Tomek chciał poświęcić więcej czasu; tak aż do wieczora. Po wyjściu z urzędu dzwonił w sprawach, które wcześniej przeoczył lub by przekazać pomysł na jakieś lepsze rozwiązanie. Kiedyś wrócił do ministerstwa, wyraźnie pod wrażeniem rozmowy z ministrem Przemysławem Gosiewskim. „Czy wiesz, że on naprawdę prowadzi dwa spotkania jednocześnie?”. Rozważał, jak przeorganizować przestrzeń w urzędzie, by mieć do dyspozycji dwa sąsiadujące gabinety, być na każdym spotkaniu tylko na początku i na końcu – ilu sprawom więcej nadalby bieg... Tomek bardzo dobrze zdawał sobie sprawę z kluczowej roli kierownictwa i gabinetu politycznego w funkcjonowaniu urzędu. Nie podzielał popularnego poglądu o fachowym aparacie urzędniczym psutym przez aparat polityczny. Często podkreślał, że czynnik polityczny powinien usprawniać tryby ministerstwa, wyraźnie wytyczać główne cele, istotne projekty i egzekwować realizację swojego programu, narzucać tempo pracy, łagodzić arbitralność w rozstrzyganiu spraw. Tomek do realizacji zamierzonych celów umiał wykorzystywać zarówno dynamikę administracji cywilnej (będącej nośnikiem pamięci instytucji, nastawioną jednak przede wszystkim na załatwianie bieżących spraw, a niechętną zmianom i nowym zadaniom), jak i aparatu politycznego (dążącego do realizacji konkretnych projektów, ale z mniejszym zrozumieniem dla hierarchii, procedur i spraw rutynowych, dysponującego ograniczoną wiedzą o przeszłych działaniach urzędu). Był przy tym człowiekiem wielkiej

kultury osobistej, do wszystkich, bez względu na rangę, odnosił się z szacunkiem, nigdy nie nadużywał władzy, nikogo nie poniżał. Dziękował za każde wykonane zadanie (choć jakość wykonania chwalił niezmiernie rzadko, raczej wtedy gdy miał poczucie, że trzeba kogoś podnieść na duchu, „docieplić”, jak to nazywał). Pracowników odznaczających się wiedzą i etosem państwowym hołubił, premiował (nie był entuzjastą przyznawania nagród finansowych według starszeństwa stanowisk czy wysługi lat) i chętnie słuchał ich rad. Tomek jednak z dużą nieufnością, nawet w drobnych sprawach i od kompetentnych osób, przyjmował odpowiedź „tego się nie da zrobić” (właściwie to jej zwykle nie przyjmował: „problem już znam, chciałbym usłyszeć rozwiązanie”).

Zdarzało się czasem, że Tomasz Merta przegrywał z ociężałością ministerstwa. Tak było w wypadku sprawy tak z pozoru błażej, jak listy gratulacyjne, wysyłane do znanych literatów, artystów czy zasłużonych profesorów z okazji przyznanych nagród lub obchodzonych jubileuszy. Tomek zawsze przykładal wielką wagę do stylu pism, pod którymi miał się podpisać (Grażyna Ignaczak-Bandych, ówczesna dyrektor generalna ministerstwa, wspomina, że „z winy” Tomka gwałtownie wzrosła liczba kupowanych dla urzędu słowników). Jednak projekty listów gratulacyjnych tak mierzyły go swą przesadną ozdobnością (mawiał „kto używa wielu przymiotników, nie ma wiele do powiedzenia”), że zamiast skreślić kilka uwag do urzędniczki, pisał w końcu list sam (lub z nieco złośliwym uśmiechem oddawał mi do „poprawy” – „pamiętaj: nie ma sensu przerabiać słabego tekstu, trzeba napisać go od nowa”). Tak oto podsekretarz stanu zamieniał się w korektora. Znad pokreślonego projektu pisma odezwał się kiedyś, nagle rozweselony: „Dlatego właśnie, zamiast zostać na uczelni, warto pracować w ministerstwie. Widzisz, żadna teoria polityczna nie przewiduje problemu pism pani Kuryłło”.

Myślę jednak, że najważniejsza społeczna funkcja, jaką przyszło mu w życiu pełnić, to rola przyjaciela. Przyjaźnił się z ludźmi o różnych poglądach, prowadzili z Magdą prawdziwie inteligencki dom, otwarty dla gości, znajomych współpracowników, studentów. Świetnie oddał atmosferę tych spotkań Łukasz Michalski w tekście *Niedościgniony wzór*. „Po latach zastanawiałem się (...), co jest istotą tego fenomenalnego wpływu, niezauważalnego i subtelnego, a przecież oczywistego i bezdyskusyjnego, jaki miał na moje życie (i tak wielu innych osób). Zrozumiałem, że był swego rodzaju żywym i niemożliwym do zignorowania dowodem odradzania się, trwania, żywotności i sensu najważniejszych wartości i tradycji, które zwykliśmy czasem nazywać trudnym do doprecyzowania, a mimo to jasnym

mianem »przedwojennej polskiej inteligencji«. (...) Nie »objawiał« swojej wiedzy, nie »głosił« bliskich sobie idei. Po prostu nimi żył bez żadnej sztuczności. Była w nim uderzająca pełnia, całość i jednolitość”. Tomek był „człowiekiem rozmowy”. Słuchał bardzo uważnie swoich gości; siedział wtedy odchylony w fotelu, czasem dotykając palcem wskazującym ust, jakby powstrzymując przedwczesny komentarz. Nie wygłaszał tyrad, zadawał krótkie pytania, rozwijał pomysły rozmówcy, czasem ironizował, pokazując konsekwencje poglądów. Dzielił się hojnie swoimi przemyśleniami. „Opowiadał książki, których nie napisał” – wspomina Bronisław Wildstein. „Przyjeżdżał bardzo często do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, proszony o to przeze mnie szczególnie wówczas, gdy pojawiały się jakieś problemy. Chciałem, aby (...) doradził, przedstawił swoją opinię i tym samym pomógł” – mówił w czasie uroczystości pogrzebowych Rafał Grubiński. „Jeśli miałbym określić jego postawę życiową jednym słowem, byłoby to »odpowiedzialność«. Za siebie i innych, za Polskę i jej kulturę, za urząd, który sprawuje, i współpracowników, za terażniejszość (...) Czytając kolejne wspomnienia o nim (...), każdy z nas, jego współpracowników lub przyjaciół, miał okazję dowiedzieć się o nowych zasługach tak bardzo szanowanego Ministra Merty i Drogiego Tomka” – zauważył Tomasz Makowski. Wielu ludziom pomagał, ale tak, by nikt inny nie wiedział; potrafił wspierać na duchu w trudnościach (Grzegorz Górny wspomina, że kilka dni przed śmiercią Tomek kilkakrotnie prosił go o książkę *Bóg* Gaudiniego, bo rozmawia o wierze od dłuższego czasu z pewną osobą i ona powinna właśnie teraz tę pozycję przeczytać). We wszystkich wspomnieniach przewija się jeden wątek: Tomek był dla tylu osób oparciem i pomimo że lubił cięte riposty i ironiczny ton, był ludziom niesłychanie życzliwy. „Tomek wybudował gmach trwalszy od katedry, gmach pamięci i wdzięczności tych, którzy go znali – to przedmowy autorstwa Marka A. Cichockiego i Roberta Kostro. Tomek był jak skała – jego prawość, dojrzałość, przenikliwość intelektualna, zaangażowanie sprawiały, że każdy, kto się z nim stykał, zyskiwał (...) niezwykle przypadek człowieka emanującego prawością i prostotą, przy którym każdy był czy starał się być lepszy”.

Magda i Joasia Merta, na koniec podziękowań skierowanych do wydawców – przyjaciół Tomka oraz wszystkich autorów wspomnień o ich mężu i tacie, napisały rzecz, z którą musi się zgodzić każdy, kto go znał: „Możemy być pewni jednego: jeśli coś o nim napisano, to gdziekolwiek Tomasz Merta teraz jest, na pewno to przeczyta”.

Ja też chcę coś napisać do Ciebie: krótko i bez ozdobników, by nie trzeba było poprawiać.

Tomku drogi, d z i ę k u j ę. Niech „Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie”. Do zobaczenia w Niebie.

#### Bibliografia:

/// Kendall, Wilmoore. 2011. *Od agory do Kapitolu*. Wstęp Tomasz Merta. Przel. M. Pietrzak-Merta. Fronda.

/// Merta, Tomasz. 2011. *Nieodżowność konserwatyzmu. Pisma wybrane*. Wybór tekstów i wstęp Tomasz Stefanek. Warszawa: Teologia Polityczna i Muzeum Historii Polski.

/// *Nieodżowność konserwatyzmu. Księga pamięci Tomasza Merty*. 2011. Teologia Polityczna i Muzeum Historii Polski. Warszawa.